

WYWIAD \ Z debiutującą na rynku fonograficznym aktorką GRAŻYNĄ SZAPOŁOWSKĄ rozmawia PIOTR IWICKI

O miłości się szepcze, a nie krzyczy

Brzmi to dosyć mało prawdopodobnie, ale fakty mówią same za siebie. Grażyna Szapołowska, ikona polskiego kina, właśnie zadebiutowała na scenie fonograficznej. Jej nastrojowy album idealnie wpasował się w niszę, której dotąd nikt w Polsce nie wypełnił. Jak sama mówi, zdarzało się jej udzielać wokalnie, jednak zdecydowane wejście do świata piosenki nastąpiło nagle i dosyć niespodziewanie. O tym, jak podejmuje się decyzję o wejściu na nowy, dosyć nieznany i nieprzewidywalny grunt, gdy jest się gwiazdą mogącą spokojnie odcinać kupony od sławy z perspektywy wygodnego fotela, mówi specjalnie „Codziennej” aktorka, reżyser i pisarka, która odtąd może śmiało dopisywać w CV: „wokalistka”.

Na wstępie pozwolę sobie Pani pogratulować. Płyta jest piękna i bardzo koresponduje z jesiennym pozłacaniem liści.

Tak, jest nastrojowa, wychodzi z duszy i serca. Nie mogła być inna, bo ja taka jestem.

Jak to się zaczęło?

Miałam plan, aby zacząć realizować projekt muzyczny. Poprosiłam Jana Nowickiego, aby napisał mi tekst „Jesteśmy”. I on bez zwlekania to zrobił. Jednak uczylił coś jeszcze, powiedział: „To teraz zadzwoń do Włodki Kiniorskiego i on zrobi ci do tego muzykę”. Nie znałam Włodki, ale ufam Janowi, więc tak zrobiłam. Pojechaliśmy do jego domu i prywatnego małego studia, wzbudzając sensację, i tak się zaczęło. Dzisiaj z perspektywy dwóch lat pracy nad całym materiałem wiem, że bez jego otwartości i muzycznego geniuszu pewnie tej płyty by nie było. Mówi się, że ludzie nadają na tych samych falach i tak się tutaj stało.

On zaproponował muzycznie formułę w konwencji klubowo-dubowej?

Absolutnie i całkowicie mu zaufałam. Artystycznie jestem perfekcjonistką i może wręcz malkontentem bardzo wiele wymagającym od samej siebie. Bywało, że Włodek musiał mnie przekonywać, iż nie ma po co robić kolejnego dubla nagrania, bo jest dobre. On stawiał na świeżość. I miał rację, słyszę to z perspektywy kilku dni od premiery albumu.

Jak wyobraża sobie Pani swojego odbiorcę, słuchacza?

To ktoś, kto oczekuje refleksji, zamyślenia, zaśluchania. Ta muzyka nie pędzi, ona się leje wraz z tym, co przeżyłam, co chciałam przekazać. To dotyk miłości, skrzydła anioła, kogoś, kto nad nami czuwa i daje poczucie bezpieczeństwa.

Album biograficzny?

Tak, choć odwołujący się też do cudzych przeżyć, emocji czy uczuć. Tak jest z „Nagimi kochanka-



Grażyna Szapołowska | fot. mat. pras.

mi” czy „Trzema miłościami”. Pierwszy odwołuje się do poezji Wisławy Szymborskiej – wiersza „Jawność”, drugi to klasyk Bułata Okudźawy, bardzo mi bliski. Jestem w tych strofach zakochana od pierwszego usłyszenia. Kiedy indziej, jak w „Psie” napisanym przez Bogusława Loebła, mówię, że kiedyś spotkałam samotnego psa. I nie zabrałam go ze sobą. I on wraca w moich snach. Może to metafora niepotrzebnego odrzucenia? Wyrzut sumienia? Wspomnienie? Sama nie wiem. Ale wraca, pięknie to Loebł napisał. Kocham „Kołysankę”, którą napisała moja córka Katarzyna Jungowska. Ta sama piosenka w tłumaczeniu Victora Johansona pojawia się też na tym albumie, tyle że w wykonaniu mojej wnuczki Karoliny. Ona ma wielki talent. Proszę posłuchać.

Słuchałem, faktycznie, zgadzam się. Ale dodam, obie wersje są piękne. Natomiast intryguje mnie bardzo „Na skraju Wenus”. Brzmi

to światowo, nie tylko poprzez francuskojęzyczny współdział w piosence Pani życiowego partnera – Erica.

(śmiech) On był największym krytykiem tej piosenki! Śmiał się z bezsensowności i niedorzeczności tekstu. O tym, że Wenus nie ma krawędzi, a księżyc barwy rtęci. A ja tak to widziałam i na tej krawędzi siedziałam. W poezji wszystko jest możliwe.

Odnoszę wrażenie, że przez to nagrała Pani płytę na tyle uniwersalną i nieidącą na pasku mody, że ona się nie będzie dewaluowała. Trzy utwory są Pani autorstwa.

Tak, to jestem ja.

Czy jakoś ingerowała Pani w teksty, w to, co popełnili inni?

Tak. Takie teksty spływały z biegiem czasu, mam wielu znajomych na Facebooku i teksty trafiały również od nich. „Tańczę pod niebem” to właśnie taki tekst, przysłał mi go Waldemar Szwałka.

A ja, słuchając tej płyty, zawsze doceniam to, że ona się nie spieszy.

Bo ja jestem w opozycji do mówienia szybko, mam alergię na potoki słów. O miłości się szepcze, a nie krzyczy.

A jak czuje się Pani w nowej roli?

Żyję, stąd rozmaite koleje losów. I te koleje poprowadziły do bajki, jaką jest piosenka. Znaleźli się ludzie, którzy podali rękę. Natomiast osobiście uwielbiam robić niespodzianki... Ale największym zaskoczeniem jest to, że płyta się podoba. I nie w sensie, że są tacy, którzy mówią, że im się podoba, ale ta ocena płynie ze wsząd. Taki jest powszechny jej odbiór. Słyszę to na spotkaniach z dziennikarzami, ale – co chyba najważniejsze – w kontakcie z słuchaczami. A przecież to dla nich jest ta płyta.

Czyli każdy może się w tych tekstach przejrzeć jak w lustrze?

Myślę, że tak. Miłość dotyka wszystkich. Każdy ma jakieś emocje i wspomnienia związane z tym uczuciem.

I co dalej? Płyta, koncerty, wywiady? Sławy Pani nie brakuje, ale to nowe okoliczności.

Te piosenki genialnie sprawdzają się w rozmaitych konwencjach. Na płycie jest bogata instrumentacja, ale grałam już je z Włodkiem tylko z akompaniamentem gitary. I jest wspaniale. Ale myślimy dalej. Jest teledysk do „Kochaj mnie”, czyli piosenki tytułowej. Chcemy obok koncertów takich typowych „w trasie” zagrać specjalny w Studiu Koncertowym Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego, to będzie w połowie lutego. Marzę, aby było to coś między koncertowym graniem a konwencją spektaklu. Scenografia, światła, pomysły. Mam już pewne nazwiska w głowie, ale nie zdradzam. To kosztowne działanie, będziemy szukali sponsora.

Te piosenki są tego warte...

Piosenki są o miłości, a miłość jest bezcenna.

.....
Piotr Iwicki jest pracownikiem Polskiego Radia.